



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.
Ekspedycyca główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na przesyłkę pocztową flor. 3 cent. 60.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.
W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

O POWIEŚCI TEGOCZESNEJ.

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

Oto kobieta nadobna, uczona, dowcipna. Niema klasycznych rysów; twarz prawie zwyczajna. Jest poważną i rzewną, naiwną i wesołą. Lubi być tajemniczą i złośliwą, umie kochać i nienawidzić. Upojona szalem w rozkosznych tańcu, nechyla szatę z lekkopozasłanianych wdzięków, przyciąga i zachwyca, bo jest nawet w szale swoim piękną i nadobną.

I cóż mówią ludzie o tej nadobnej kobiecie?

Jedni zachwycają się nią i palą jej kosztowne kadzidła. Inni odmawiają jej wszystkiego a nawet czci i szacunku. Im większy hołd z jednej strony, tem większe potępienie z drugiej. Ci uwielbiają jej fantazyę, rozum i serce, tamci płaczą nad zgorzknieniem, które daje sama jej piękność i egzystencya.

Oto powieść i jej losy!

Powieść jedna z pięknych cór literatury nadobnej, przechodzi prawie te same losy, co nadobna kobieta. Urok jej piękności może rozbudzić w sercu najszlachetniejsze uczucie, może podnieść do wyżyn życia, może z nas zrobić bohaterów. W innym kierunku wzięta jej piękność niszczy i zabija, strąca nas w mętłą kałużę egoizmu. Z tego dwojakiego stanowiska widziana nadobna kobieta, ściąga na siebie z jednej strony oklask podziwu i uwielbienia, z drugiej pada na nią grad pocisków śmiertelnych. A podczas gdy jedni pierwszą się zachwycają, a inni przeciw drugiej waleczą, stojący zdala zimni spektatorowie, dla których sama egzystencya nadobnej kobiety jest zagadką, dziwią się tej niepotrzebnej walce, i w imię dobra publicznego wyświecają charakter tej niebezpiecznej niewiasty!

Romans, czyli jak my zazwyczaj mówimy — powieść — ma więc swoich przyjaciół, ma i nieprzyjaciół.

Jedni uważają ją za przewodnika społeczeństwa, który z zapaloną pochodnią prowadzi je po ciemnych i zawiłych drogach do wyżyn coraz wyższych, z kąd okazuje mu wyższe cele i obowiązki życia ludzkiego. Ostrzegać ona ma śród drogi przed niebezpieczeństwem pochodu, uczy przeciwności zwalczać i daje jakoby do ręki broń stosowną.

Według tych powieści powinna zawsze wyprzedzać społeczeństwo, powinna pierwsza obaczyć węzły i zadzierzgnięcia i pracować nad ich rozwiązaniem wtedy, nim jeszcze samo społeczeństwo czynną rękę do tego przyłoży!

Inni nie przyznają powieści nietylko żadnej zaśluzgi, ale nawet odmawiają jej prawa bytu. Mówią, że jako nauczycielka jest niebezpieczną. Ucząc prawd życiowych, podobną jest według nich do pięknej kobiety, prawiącej młodzieńcowi o ascetycznych abnegacyach. Moralna jej nauka następuje zawsze dopiero po odbytych bachanaliach, a nieco zapóźno, bo uczniowie upojeni szalem bachanekim, już moralu nie słyszą!

Adepci nowej filozofii, która całą mądrość życia w nauce socyologii zamyka, zarzucają jej, że niepotrzebnie umysły rozmarza, że wyprowadza je po za świat rzeczywisty, gdzie właściwie żadnego świata już nie ma, że tworzy złudne ideały, jakich szara materya w sobie pomieścić nie może.

Niektórzy z ekonomistów zarzucają powieści, że nietylko nie jest produkcyjną, ale że jest bezużytecznym konsumentem czasu. Czytanie bowiem romanów i powieści nie produkuje żadnych pokupnych artykułów handlu, których eksport stanowi prawdziwą miarę bytu i cywilizacyi społeczeństwa.

Mimo tych wszystkich głosów przeciwnych, najpierwsze powagi naukowe w tem się zgadzają, że romans czyli powieść jest jednym z najpoważniejszych czynników cywilizacyi, a to przez formę swoją dostępną.

Forma ta, odpowiadająca najbardziej pewnemu

średniemu wykształceniu całego społeczeństwa, jako też i przyrodzonej organizacyi władz umysłowych, ułatwia jej drogi do najodleglejszych krańców społecznego ciała i czyni dla niej to dostępne, co dla każdego innego słowa lub środka cywilizacyi, dostępnem nigdy być nie może.

Podczas gdy katedry szkół przystępne są dla małej stosunkowo liczby słuchaczy, podczas gdy książka naukowa do niewielu rąk dochodzi, powieść znajduje gościnne przyjęcie nietylko w komnatach ludzi bogatych, nietylko mile bywa witana po dworach i dworkach, ale wchodzi do izdebki rzemieślnika i niestrudzona wciska się na ubogie poddasze, gdzie jest często jedynym i najpożądanym gościem.

Z tego punktu widziana powieść jest rzeczywistością wielką, szeroko rozgałęzioną arteryą, którą do ostatnich krańców ciała społecznego dostają się soki, jakimi to ciało się żywi.

Czyż w takim razie obojętną jest rzeczą co ta arterya z sobą roznosi? Czyż nie potrzeba tu jak najściślejszej kontroli, aby osłodzony płyn nie miał w sobie ukrytej trucizny? Czy niepotrzebny jest tutaj skalpel lekarski i tygiel chemika?

Tu jest wielkie i szczytne zadanie krytyki — i to nietylko krytyki artystycznej, ale przedewszystkiem krytyki sumiennej moralności, któraby zapęd, szal i namiętność jednej z pięknych cór nadobnej literatury powstrzymać umiała.

Niestety, rozpatrując się po całym obszarze dzisiejszej literatury nadobnej nie widzimy prawie nigdzie owych nieubłaganych strażników społeczeństwa, a przedewszystkiem uderza u nas ta naganna nieprzezorność. Jeszcze pisma warszawskie wypełniają o ile mogą swoje obowiązki, ostrzegają lub zachęcają społeczeństwo, a przynajmniej mówią o tem co złego lub dobrego w powieści być może, przez co wyrabiają się w czytających pewne kryteria. Skutkiem tego jest, że takie np. osławione książki jak Izabella, Grzechy Krystyny, Barbara Ubryk, nie przekraczają tam prawie nigdy progów garderoby

i przedpokoj, podczas gdy pokrewne tamtym utwory rozpięrają się u nas po budoarach a nawet w towarzystwie ludzi wykształconych są tematem pochwał i rozmów na seryo.

Pochodzi to z braku krytyki u nas. Ludzie, których obowiązkiem było stać na straży prawdziwej sztuki i moralności publicznej, lekceważą powieść z pewnej źle zrozumianej zasady, a uganiając się za blichtrzem niepewnej często uczoności, zostawiają samopas nadobną córę literatury, na pastwę jej własnych wdzięków.

Dla tego też nie może czytająca publiczność wyrobić sobie pewnych kryteriów, któreby służyły za wskazówkę, czy wdzięki, które widzi przed sobą, są przyrodzonemi wdziękami pięknej i zanej kobiety, czy też są tylko rezultatem blanszu i różu, jakim ubarwia swe wytarte oblicze nisko upadła wietrznic!

Przystępna i na pozór łatwa forma powieści sprawia pewne złudzenie dla tych, którzy w głąb istoty nie wnikają. Zdaje się im, że nie łatwiejszego jak napisanie powieści. Wymyśleć jakieś niezwykłe zdarzenie, nadać na nie różne wypadki i przygody, kazać ludziom kochać się, lub nienawidzić, truć i zabijać, kraść i wykradać — oto już gotowa powieść. Są nawet autorowie, którzy w ten sposób powieść pojmują i piszą. Karwiąca się taką strawą publiczność nie żąda od powieści niczego więcej jak tylko zaciekawienia. Po odczytaniu ostatniej kartki kończy się zadanie powieści, którą już można podrzeć i rzucić.

Takie pojmowanie powieści jest nietylko bezprodukcyjną konsumpcją czasu, ale jest przyczyną zatury prawdziwego smaku, który już nie umie rozróżnić potem co dobre a co złe.

Gdyby częste krytyczne rozprawy o powieściach zapoznały czytającą publiczność, że powieść jest tak samo jak każdy obraz dziełem artystycznym, że rysunek figur, grupowanie, koloryt i cała kompozycja tym samym warunkom podlegają co i sztuka malarzka, że budowa powieści tak samo jak budowa świątyni lub pałacu może się trzymać pewnych, ustalonych reguł architektonicznych — że wreszcie co do wewnętrznego ducha powieści, wyłania się z niej pewna myśl wyższa, rozświecająca drogi społeczeństwu, lub skończona piękność tego, co człowiek w walce ze skamieniałą rzeczywistością życia sam z siebie wydobyl i za ideał przed oczy swoje postawił, aby się nie cofać tylko naprzód dążyć; — gdyby o tem wszystkim z należytą powagą często rozprawiała krytyka: czytająca publiczność zadrżałaby po za kulisy tajemniczej sztuki tworzenia i pisania, nauczyłaby się odróżniać prostotę i wdzięk przyrodzony od sztucznego bielidla i różu i tym sposobem przyswoiłyby sobie pewne kryteria, za pomocą których mogłaby od razu rozróżnić prawdziwy kruszec od imitacji i fałszu.

Alle ludzkie nauki za mało zwracają uwagi na tę nadobną dziewicę, której wdzięki mogą zaświecić gwiazdą przewodnią, ale mogą także stać się towarem brudnego przemysłu.

W ostatnich czasach mianowicie zrobiono z powieści czysto pieniężną spekulację. Powieść więc musi w takim razie często stosować się do kaprysów wydawcy i redaktorów. Idzie ona poprostu jak czar na niewolnica do suterenu feletonu, aby tam różnym sposobem wabić czytelników i prenumeratorów. Rozumie się samo przez się — nie jest ona tam samowładną panią, ale najętą prostą wyrobnicą, która to robi, co wydawca sobie życzy.

Zamówionych takich fabrykatów produkuje dzisiejsza europejska literatura niezliczone stopy. Są to rozpowszechnione dzisiaj tanie table d'hôte, przy których za złożony z góry pieniądz siada się i je to, co postugacz podaje.

Jasną jest rzeczą jak podobne warunki szkodliwie wpływają na powieść.

Lat temu dwadzieścia jak przed kratkami sądu w Wiedniu stali: autor i wydawca pewnego dziennika. Autor na ławie obwinionych.

— Pan zobowiązałeś się kontraktem — mówił sędzia do autora — że dla feletonu temu wydawcy napiszesz powieść w czterech tomach.

— Tak jest, odpowiedział autor spokojnie.

— Nie dotrzymałeś pan umowy — zakończył jednym tomem.

— Tak jest — zamknąłem powieść w jednym tomie.

— Więc przynajmniej się do winy, że niedotrzymałeś umowy!

— Niedotrzymałem umowy — ale nie moja wina. Wina po stronie wydawcy. Zrobiłem plan i szkic powieści czterotomowej. Ale przy piątym rozdziale wpadł do mnie wydawca i rzekł gniewnie: Jaktó — pan mnie gubisz! Już piąty rozdział a niema jeszcze ani skandalu, ani morderstwa? Któż taką jałową ramotę czytać będzie!... Oto jutro niedziela — publiczność na niedzielę potrzebuje znacznego kaska — zamorduj pan archeologa, który już i tak za długo nudzi publiczność!... I jeszcze tego samego wieczora, mówił dalej autor, zamordowałem biednego archeologa, a zasmakowawszy raz we krwi ludzkiej, zacząłem mordować i innych; gdy do końca pierwszego tomu się zbliżyłem — już nie miałem żadnej żywej duszy!... Zkądże więc było wziąć materiału do trzech jeszcze tomów?...

Jest to drobna, ale prawdziwa ilustracja tegoczesnej powieści, służącej spekulacji różnych wydawnictw na obu półkulach świata.

Wprawdzie ponad stosami tych fabrykatów niepewnego pochodzenia wznoszą się tu i ówdzie jasno świecące gwiazdy, a chociaż blask ich jest tak jasny, że każdy je obaczyć i od innych rozróżnić powinien, potrzeba jednak oka wprawnego, ażeby w takim chaosie nie pomyliło się.

Już więc ze względu na to, że powieścią żywią się masy i że nieobojętne jest, co ona tym massom daje, powinna poważna krytyka zająć się nią sumiennie i uwytadniając w niej to, czego dzisiaj oko czytelnika zobaczyć nie umie, powinna stworzyć dla społeczeństwa i autora pewne kryteria, któremi w sądzie i wyborze mogliby się kierować.

Również wymaga tego sama godność powieści. Jeżeli niedawno członek akademii nauk w Paryżu na publicznym posiedzeniu owych nieśmiertelnych stróżów nauki i umiejętności zamiast zwykłej akademycznej rozprawy odczytał powieść, za pomocą której usiłował rozwiązać jedną z bardzo ważnych kwestyi społeczeństwa, — to powinno już to samo i u nas podnieść godność powieści i uczynić ją tematem głębszych naukowych studyów. Tym tylko sposobem można ją uchronić od upadku i czytającej publiczności dać do ręki probierz, za pomocą którego będzie wiedziała co wiać a co odepchnąć.

Nie wszystkim może jest dzisiaj wiadomo, że ta piękna, w wyszarzanych lub jaskrawych szatach pojawiająca się kobieta jest pochodzenia wysoko arystokratycznego!

Najpierwsi estetycy dzisiejsi wywodzą ją w prostej linii od pieśni bohaterskiej — od Epos.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Gitara hiszpańska. — Kwestarze klaszorni. — Kwestarz Narcyz. — Zakrystyjan chcący zbadać tajemnicę laika. — Murowany dwór pułkownika. — Strzelanie do tarczy. — Obnoszenie w tryumfie. — Krzyk niewieści.

Powszechnie użycie *gitary angielskiej* z metalowymi strunami, nie kosztownej, a łatwej do przygrywek, która z miast i dworów ziemiańskich do zagród szlachty zagonowej przeszła, ułatwiało wielce szybsze rozpowszechnienie tych utworów.

Panny dworskie wśród koła wesołych i ożywionych *przadek*, popisując się z umiejętnością grania na gitarze, z powszechnym podziwem i uwielbieniem całego grona wieśniaczek, wyczuwały i słów i melodyi pracowite dziewczęta, które za własne progi przenosiły utwory poetów, nie pytając o ich imiona. Daleko bowiem później po stolikowych *klawikordach*, zwanych także *Klawicymbalami*, pokazywać

się zaczęły fortepiany i to jedynie w zamożnych domach.

Owóz, wśród długich, zimowych wieczorów, śpiew i muzyka była jedną z najgłośniejszych rozrywek dziewic ziemianek. Kiedy dodamy do tego zabawy rodzinne, święta i imieniny, wesela i chrzciny, nie tylko w domu ale w całej okolicy, na które ze wszystkich dworów zgromadzała się młodzież, gdy wspomniemy na owe gwarne *Kuligi*, które w całej dawnej świetności zachowały się na ich uciechę i serdeczną rozrywkę, a obok tego policzymy godziny przeznaczane na modlitwę i nabożeństwo, łatwo nam dopatrzeć, że czas cały, wolny od pracy codziennej, miały zajęte. Dodajmy do tego roboty na krosienkach haftów, głównie jako ofiarę dla kościoła, na drutach, oprócz kądzieli; w chwilach nawet najswobodniejszych, dziewice, ich matki i najszędziwsze matrony wiekiem, wiodąc w kole rodzinnem swobodną pogawędkę, *drezlowały*, wyciągając nici srebrne i złote ze starych i zużytych *pasów* do żupana, i zużytych galonów. To też dobrze maluje, genialny nasz komedypisarz *Aleksander hr. Fredro*, w latach swych młodocianych życie na dworach wiejskich, gdy stary a wierny sługa i domownik *Krupkowski* wspomina o niem:

„Nie tak bywało, nie tak za świętej pamięci Rodziców: grzecznie, pięknie, zawszej dobrej chęci. Jak sam pan, tak i pani byli dla swych gości. Ależ była u licha miara w gościnności. Był czasem i spoczynek, drzemnęło się czasem, A jeśli się bawiono, to nie z tym hałasem. Kobiety *drezlowały*, nikt o nich nie wiedział, Jegomość z Ichmościami w swej komnacie siedział, Tam, gwarząc przy kieliszku, radzili niemało, Ale teraz!... o nie tak, nie tak tu bywało!“

(*Przyjaciele*. Akt I. Scena IV).

W monotonnem na pozór życiu dworów wiejskich, były chwile uciechy i rozrywki, nawet w dniu powszednie. Oto na podwórzu *zjeżdża* ksiądz *Kwestarz* z klasztoru, a przed jego bryką, zwykle bieży wielki baran z rozłożystemi rogami, z dzwonkiem u szyi, a na koźle kundys silny wprawiony do takiej podróży. Siedzi spokojny i potulny, *bezpieczny* od napadu chartów, gończych i kundłów domowych, z którymi byłaby walka nierówna, nie szeczeknie nawet, aby nie pobudzić zajądłości psiarni dworskiej, ale bryki kwestarskiej pilnuje jako stróż gorliwy, a na gościńcu, po zebranej kwęście, owce pozyskane trzyma w gromadzie, której przewodzi stary baran klasztorny ze dzwonkiem u szyi.

Z przybyciem *kwestarza*, cały orszak niewieści zbiega się na powitanie znanego a miłego zawsze sobie gościa, który przynosi ciekawe wiadomości z dalekiego świata, piękne obrazki świętych i patronek, paciorki i różańce poświęcane przez samego papieża w Rzymie, a nawet dla panierek córek państwa, książeczki oprawne ładnie do nabożeństwa, drukowane w Częstochowie.

Ruch niezwykły pojawia się w całym dworze, czeladź, wiedzie konie zakonne do stajni, a fornała ugaszczą; gdy w jadalnej komnacie, już przy zastawionym stole siedzi sam *kwestarz* i spożywa smaczne potrawy, rączkami panierek na przedce przyrządzane.

W znak podzięk, opowiada wieści i wypadki, jakie do jego klasztoru nadbiegły — nietylko z Warszawy, Krakowa, Lwowa, Poznania i Wilna, ale nawet z zagranicy. Całe koło zebranych słucho ich ciekawie, a podedrzwiłami podstuchuje dworska służba.

Obok tego dodaje *dykteryjki* zabawne i dowcipne anegdotki, ażeby państwo w dobry humor wprowadzić, a tym samym pozyskać hojniejszą kwęstę. Jakoż rzadko kiedy chybiał zamierzonego celu.

Pan, kazał dać z owczarni dwa albo trzy barany, zboża kilka korey, i *asygnację* na drzewo w lesie: *Pani*, mąki, krup, serów, masła, słoniny, owoców suszonych, drobiu: jak gęsi i kapłanów, baryłkę okowity, a gdzie była pasieka, antałek sycanego miodu.

Nieraz *kwestarz* od jednego tylko dworu z obfitemi dary musiał nawracać do klasztoru, ażeby je wyładować w spiżarni i piwnicy kościelnej i znów w dalszej drodze, szukać nowych zdobyczy.

Po wyjeździe *kwestarza* wspomnienie o jego po- bycie, przyniesione wieści i *dykteryjki* dawały

osnowę do dłuższych pogawędek, a opatrywanie darów skromnych, któremi dwór niewieści obdarzył, zapewniało uciechę wszystkim.

Kwestarze nie byli to księża mszalni, ale *laicy* lub tak zwani *braciszkwowie* i często gęsto znajdował się pomiędzy nimi ludzie z najłepszymi wykształceniami, ze światowym doświadczeniem, którzy po burzy życia, straciwszy ognisko domowe, kiedy ich sieroctwo rodzinne dotknęło, bez dachu, bez przytuliska szukali w celi zakonnej spokojnego odetchnienia.

Starsi zgromadzenia chętnie przyjmowali takich *rozbitków*, bo ci po spoczynku krótszym, czy dłuższym, zawezwani do posługi klasztornej, pokazywali się najlepszymi kwestarzami, nie brali żadnych święceń kapłańskich, lubo przywdziewali habit zakonu, w którego sprawach krzatali się po wsiach okolicznych głównie do dworów ziemiańskich zaglądając.

Słynął w początkach naszego stulecia w całym po nad Wiślu, braciszek *Narcyz*, młody i dorodny kwestarz.

Liczył on zaledwie trzydzieści lat wieku, gdy przyjechał do klasztoru Bernardynów i zażądał habitu jako *laik*.

Pierwsze miesiące przebył w milczeniu grobowem, lubo jak najgorliwiej się modlił, mało używał spoczynku, pierwszym był na chórze kościelnym, troskliwie spełniał wszystkie rozkazy starszych, ale słowa jednego nie wyrzekł.

Ścisłe posty, wychudziły jego oblicze pełne i rumiane; wkrótce pokazały się rysy na gładkiem czole, snadź pracą myśli wywołane, i siwy włos przesrebrał w gęstej i bujnej dawniej czuprynie. Nazwiska jego nikt nie znał oprócz miejscowego Gwardyana, który obchodził się z nim poważnie i bardzo względnie.

Kiedy spełnił swoje obowiązki w klasztorze, w pierwszych dniach po przywdzianiu habitu bernardyńskiego, modlił się jedynie poświęcał: zakonicy widzieli jak rzewnie płakał, i szeptał do siebie niezrozumiałe słowa. — Po kilku tygodniach, gdy widać rozpacz go zwolna opuszczała, coraz więcej do przytomności powracał, zachodził do ogrodu Bernardyńskiego; z początku przyglądał mu się nieraz z rzewnym uśmiechem. Kiedy ujrzał fiolki, niezapominajki i róże, rzeźwił w tej woni balsamicznej. Szczególniej ulubionym jego kwiatem była róża biała.

Stary Zakrystyan klasztorny, raz zobaczył braciszka *Narcyza*, że urwawszy różę białą, poszedł w gąszcz krzaków przy szpalerze lipowym, aby go nikt nie widział, a usiadłszy na ławeczce darniowej, pod drzewem morwowem, kwiat ten całował, łzami oblewał, do serca przyciskał, głośno jakieś słowa wymawiał, z których stary ciekawie dosłyszał że zgrozą te słowa wymówione w obrębie murów klasztornych:

— Zosiu moja! ty wiesz jak cię kocham.... bądź liłościwą!..

I potem padłszy na kolana, mówił jakby do świętego obrazka..

— To twój kwiat ulubiony Zosieńko! daj mi go, zachowam go do śmierci.

Reszty słów Zakrystyan nie dosłyszał, ale dojrzał przez krzaki, jak padł krzyżem, łkał jak bóbr rzewnemi łzami, i tarzał się w boleściach i rozpacz. Zaraz więc pobiegł dać o tym znać ojcu Gwardyanowi, który pomyślawszy chwilę, odrzekł spokojnie:

— Dajcie pokój bratu Narcyzowi! On bardzo niezczęśliwy. Niech robi co mu się podoba. Bóg go natchnie dobrą myślą.

Siwy Zakrystyan spojrzawszy wielkimi oczyma na Gwardyana, nie mogąc zrozumieć ani słówka; uklonił się spokojnie, ale w duchu sobie pomyślał:

— Tak i ja będę ciebie braciszku podpatrywał!

Wszelako pomimo usilnych starań, niczego się więcej nie dopatrzył. Braciszek *Narcyz* znacznie uspokojony, od pierwszych dni wiosny zaczął gorliwie pracować w ogrodzie klasztornym. Sadził kwiaty, pomiędzy którymi było najwięcej róż białych, przesadzał krzewy, pożyczek i agrestu, oczyścił drzewa z robactwa, wysypał piaskiem złotym wszystkie ścieżki. Dla ojca Gwardyana urządził cienistą altanę, z dzikiego wina, w której sędziwy kapłan rad się modlił, bo w niej wisiał śliczny obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którą dniem i nocą gorzała lampka. Przez parę miesięcy

ciąglej pracy, brat *Narcyz* zmienił ogród bernardyński do niepoznania.

Zakrystyan podpatrując go starannie, ujrzał raz z niemałym podziwieniem, jak w tej altance kłęczał u nóg ojca Gwardyana, coś szeptał czego dosłyszeć nie było można, a zacny przełożony ujął jego głowę w obiedwie ręce, błogosławił i całował z wielką miłością.

Na ten widok struchlał Zakrystyan i uciekł ze swego ukrycia.

Narcyz przy swych zajęciach w ogrodzie klasztornym, zaczął się ożywiać coraz więcej: praca go orzeźwiła. Cera żółta z lica ustąpiła, wracała dawna białość, a na niej wybijały czerstwe rumieńce, jako oznaki zdrowia.

Zmarszczki nawet na wyniosłem czole zniknęły, a siwe włosy zrzadka srebrzyły się tylko na prawej skroni.

W jesieni po długiej rozmowie z ojcem Gwardyanem, *Narcyz* mianowany został kwestarzem. Dano mu wielką i pakowną brykę, parę starych, ale jeszcze silnych koni i fernala wyrostka, wychowanka klasztornego, wielce zwinnego i przebiegłego chłopaka, który był, jak to mówią: „do wypitki i wybitki“.

Po tygodniu wędrowki wrócił *Narcyz* do klasztoru, z bryką dobrze wyładowaną, ze trzydziestą skopami podpasionemi dobrze, z setką talarów bitych w srebro—na światło w kościele i msze święte.

Po kilkodziennym spoczynku znów wyruszył w inne strony, i tak tydzień po tygodniu, zwiedzając rozmaite okolice, suto spiżarnie i piwnice zakonu swego zaopatrywał.

Przez dwa lata pełnił gorliwie i korzystnie obowiązki kwestarza, kiedy w trzecim roku wyruszył, w tę stronę gdzie nie zaglądał jeszcze, bo w najbliższe od klasztoru nadbrzeża *Narwi*.

W murowanym dworze u sędziwego pułkownika gwarno było i wesoło. Od czasu do czasu odzywały się wystrzały pistoletowe: towarzysze to jego bronie, starsi i młodszy popisali się celnością oka i zręcznością ręki.

Braciszek *Narcyz*, pochylony, ze schowaną głową w kaptur mniszy, wjechałszy na podwórze, kazał swojej bryce stanąć na uboczu przy bramie, a sam w postawie skromnej i potulnej, jak na dobrego kwestarza przystało, ze smutnem obliczem, zbliżał się zwolna ku gankowi dworskiemu.

W tę chwilę właśnie wyszedł nań sam pułkownik, a ujrzawszy habit zakonnik, zawołał donośnym głosem:

— Hej! tam! Janek albo Pietrze! Wziąć konie do stajni i dać obroku, fernala klasztornego ugościć, a księdza dobrodzieja prosimy z sercem otwartem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

HISTORIA

O JANASZU KORCZAKU

I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNI

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Nazajutrz do dnia na zamku ruszać się wszystko poczęło, wyprowadzano konie, ludzie się przybierali, Janasz jeszcze opatrywał każdego z osobna i wózek dla kobiet przeznaczony. Nikita miał jechać na szpic, bo już był z okolicą obeznany, za nim Janasz konno i ksiądz *Żudra*, który też chętnie dosiadał stępaka; reszta ludzi po bokach i z tyłu rozdzieloną była.... Zdawało się że dzień jakby umyślnie wybrano dziwnie piękny, jasny i ciepły. Nim wyruszyli jeszcze, *Dorszak* zapowiedział, iż dla ukazania piękniejszych miejsc, cokolwiek inną poprowadzi drogą. Nie uderzyło to nikogo.

Ze wschodem słońca w gotowości było wszystko, *Miecznikowa* przeżegnawszy się siadała na wózek

z *Jadzią*, *Dorszak* na koniu się już związał, ludzie swoje dosiadali, *Janasz* rozstawał—i tak cała ta kawalkata przebywszy most i miasteczko z którego chat i domostw wybiegło ludzi mnóstwo, dla przypatrzenia się jadącym, ruszyła przez dolinę w wąwozy. *Jadzia* więcej stała niż siedziała na wózku, unosząc się od pierwszych kroków w wąwozach, nad pięknością drzew i gór otaczających.

W szczególnym humorze był *Dorszak*, jak gdyby zwykle swe miłczenie i kwasy chciał wynagrodzić, ożywiony opowiadał różne podania, o dawnych napadach, bitwach staczanych, porwanych jeńcach i t. p. Każdy katek miał tu jakieś krwawe wspomnienie.

Im głębiej wjeżdżali w góry, tem ściany ich wyżej się podnosiły i las starszy był a poważniejszy. Strumienie przebiegały drożynę, skały szare gdzie niedziedzie piętrzyły się nad nią, lub z pod darni wybijały się okryte grubym mchów pokładem, zieleniących teraz właśnie barwami najżywszymi. *Miecznikowej* wskazywał *Dorszak* zapadłe w ziemię krzyże graniczne i zaciosy rubieżne na dębach.

Jechali tak spokojnie aż do południa prawie. Słońce podniosłszy się rzuciło z góry promienie w te zakątki lesne, reszta dnia stojące w cieniach. Niekiedy w wąwozach obwiewał ich chłód dolin, to znów wpadał prąd ciepły rozgrzanego powietrza. Konie dobrze już były zmęczone, gdy wjechali w dolinę między górami, na której u skraju lasu widać było dwie mogiły. Jedna z nich odmienna od tych które dotąd widywali, opasana była jakby pierścieniem zielonym do koła, usypanym niegdys wałem, wklęsłym teraz w ziemię.

— Możeby tu jasnie pani kazała koniom wypożać!—odezwał się *Dorszak*.

— A dobrze! dobrze! przerwała *Jadzia*—u mogiły—ale jakże się ona zowie?

— *Han-Kurhan!*—rzekł *Dorszak*...

Drzewa, które znać po usypaniu obu kurhanów porosły, do pół osłaniały je gałęzmi. Po za pniami ich była gąszcz krzewów, głogów, dereniów, skompii, róż poplecionych z jeżynami dzikimi.

Do koła zieloną równinę, którą przerzynał strumień, otaczały piękne wzgórza. Nie widać ztąd nawet było, aby do niej inna wiodła droga nad tę, którą wjechali podróżni. Cisza panowała do koła. *Miecznikowa* i *Jadzia* wysiadły z wózka, ksiądz z konia, ludzie zaczęli też z kulbak złażyć. *Janasz* jeszcze siedział i rozglądał się, zapewne dla wyboru miejsca na spoczynek, gdy wśród miłczenia głuchego, ucho jego chwyciło w dali rzenie koni.

Gdyby był w tej chwili spojrzawszy na *Dorszaka*, dostrzegłby był jak pobladł nagle.

Zaledwie się to oddalone rzenie słyszeć dało, gdy stojącemu przy sobie *Nikicie Korczak* rzucił w ucho.

— Wszysey do koni i do bronie, nie zsiadać, kołem stanąć.

Dorszak więcej się domyślił rozkazu niż go posłyszał.

— Niech ludzie spoczną—odezwał się, niech bronie złożą, bo się nadźwigali darmo przez drogę. Konie by trzeba napoić.

Janasz skinął na *Nikite*.

— Ani mi się ważyć.

Miecznikowa i *Jadzia* z podziwieniem spoglądały na niego i nie umiały sobie wytłumaczyć tego niepokoju.

Dorszak niby coś około siodła poprawiając, nie zsiadał z niego i oczyma niespokojnie do koła rzucał.

Chwilę jakąś trwało oczekiwanie, gdy ziemia tętnieć zdała zaczęła nagle, coraz gwałtowniej, coraz bliżej i z prawej strony ukazał się niedaleko jakby tabun koni, które prosto gnały na obóz.

Miecznikowa miała się czas przeżegnać i pochwycić córkę w ramiona, gdy już *Janasz* i ludzie stanęli zastępem między nią a tym widokiem dla niej niepojętym. Obejrzała się na *Dorszaka* i ujrzała go, co koń wyskoczył mógł, uciekającego w stronę przeciwną. Zdało się jej tylko, że ręką jakieś znaki dawał—komu? ludziom co ją otaczali, czy też napaśnikom rozeznac było niepodobna. W tejsze chwili swist strzał, które się posypały gradem, biły w gałęzie i padały, chwiejąc się, w pnie drzew białe, dał się słyszeć dokoła.... *Janasz* z ludźmi już gotowymi ku obronie stał osłaniając sobą *Miecznikową*.

Nie stracił on ani męztwa ani przytomności, oczyma starał się obliczyć siłę, przeważającą ogromnie, nieprzyjaciela. Pisk i krzyk Tatarów, tentent

koni, ukazujące się twarze czarne z zębami białymi, padające strzały, nie strwożyły też garści tej ludzi, którą Janasz dowodził. Dopuszczając tłumy na strzał, dali ognia.... Ten niespodziany znać opór nieco powstrzymał napastników, ale obiegając poczęli w lewo i osaczać do koła garść napadniętą, którą tylko las osłaniał z drugiej strony. Janasz krzychał nakazując, aby Miecznikowa z córką nie odstępowała szyku bojowego, i zakomenderował powolne cofanie się ku wąwozowi. Boki jego okryte były gęstymi zaroślami i na górę nie przędko się Tatarzy wędrczyć mogli. Parów więc stanowią rodzaj naturalnej twierdzy, w której się jakkolwiek z małym tym poczem trzymać było można. Zrozumieli to wszyscy. Książę Żudra pochwycił za rękę Miecznikową i stanął z nią za wozem, który usiłowano też wciągnąć do bałki. Konie tylko wystraszone wrzaskiem i strzałami, zrazu się nie dały pokierować. Rozpaczliwa to była obrona. Tatarzy obiegali coraz ciasniejszym kołem i wciąż puszczali strzały.

W pierwszej chwili przelękną Miecznikowa, powoli odzyskała cokolwiek przytomności i męstwa. Zaczęła wołać, aby jej i Jadzi podawano rusznice do nabijania. Jadzia też była jakby owiana jakimś duchem rycerskim. Żaden z ludzi nie padł jeszcze, dwóch było rannych. Janasz miał w czapce dwie strzały i rękę jedną ranną, ale ani wiedział o tem, ani tego czuł. Cofając się zwolna do wyjścia wąwozu, potrafili kobiety osłonić, a że wązka była szyja, którą wychodził do doliny, dziesięciu ludzi mogło się na dwa rozdzielić szeregi, jeden z nich mógł dawać ognia, podczas gdy drugi gotował się do niego. Janasz stał na przedzie, rozgorączkowany, zapalony, wściekły; czując że tu życiem przypłacić przyjdzie, a myśląc tylko o tem, jak Miecznikową i Jadzię ocalić. Jedną ucieczką na ślepo, w gąszcz lasów, mogła je albo cudem uratować, lub też, jako nie świadomych miejscowości, napędzić właśnie w sidła. W tej zaś chwili nawet ucieczka była niepodobiestwem, bo wąwóz się ciągnął daleko, a dwie ściany obejmujące go, prostopadłe niemal były jak urwiska.

Miecznikowa tuląc córkę, w modlitwie, cofała się zakryta wózkami i kołmi. Jadzia wołała: — Dawajcie rusznice. Janasz rachował czas, jak długo się będą mogli utrzymać, myślał czy cofać się dalej, czy stać w miejscu.

Cofanie się ścieśnioną garścią nie było też dobrem, gdyż stawiało ich na cel strzałom. Tatarska dzicz ogromnym kołem objęła ich z przodu. Kilka koni i ludzi rannych od strzałów padło, rozjuszyło to więcej jeszcze napastników, którzy co raz bliżej nacierali.

Z rozpaczą prawie ujrzał Janasz, że część Tatarów z koniami, część odbiegłszy koni, na prawo i w lewo pusiła się gąszczami, widocznie dla osaczenia obu ścian wąwozu, z których wierzchołków strzałami wygodnie schowanych tam ścigać mogli i zmusić w końcu do poddania się. Na czoło nawet mniej nacierano. Książę Żudra posłyszał drapanie się przez krzaki i mimowolnie wydał okrzyk:

— Teraz jesteśmy zgubieni!

Matka pociągnęła ku sobie gwałtownie córkę, objęła ją ramionami i obie tak stały, czekając co Bóg przeznaczył i chcąc już tylko ginąć razem.

Lecz pierwsze łby i krynki tatarskie, co się górą w wąwozie ukazały, ledwie miały czas wyjść z gąszczy. Jednego kula obalił Nikita, drugiego Janasz. Z lewej strony rażony Tatar, próżno się chciał chwycić za krzaki, potoczył się po stromej ścianie, brocząc ją krwią, i zawisł niemal nad Miecznikową, w splecionych korzeniach drzewa, w które się uplątał. Lecz w miejsce ich już cisnęli się drudzy. Obrona ze wszech stron stawała się niepodobiestwem, rusznice nabijane były potrzeba, a znosić syjące się strzały. Janasz już ran miał kilkanaście. Szczęściem gruby kaftan który wdział dnia tego, znaczniejszej ich części nie przepuścił głęboko. Tkwiły w nim i opadały.

Jednego z ludzi strzała razila w oko i utkwiszszy aż w mózgu, ubiła w miejscu, potoczył się z konia, chwytając go rękami, jęcząc i konając. Książę Żudra pochwycił za cugle konia, głową pożegnał Miecznikową i dosiadł go, biorąc po zabitym rusznice.

W prawo i w lewo z gąszczy cisnęła się tłumy z wrzaskiem dzikim. Tak byli pewni jeńców, że już strzelać zaniechali, co przędkiej tylko puszczali się w dół, aby kobiety pochwycić. Znać było, iż

im szło o nie i o to, kto je pierwszy porwie, aby do okupu miał prawo.

Miecznikowa i córka stały chwilę osłupiałe, głowami przytulone do siebie, lecz nagle Jadzia się porwała. Twarz jej pałała.

— Janasz — krzyknęła — pistolet! dawaj broń!

— Dawajcie broń! — zawołała Miecznikowa — bronii! bronii!

Korczak który się cały w tę stronę obrócił, chwycił istotnie pistolet, który coprzędkiej nabił, wziął drugi od człowieka i podał obu kobietom. Tatarzy zsuwali się po ścianach wąwozu w dół. Chwila była straszna.

Ze dwudziestu ich naliczył Janasz, już niemal dosięgających dna wąwozu. Od doliny nie broniąc się nawet, dawał ognia na tych, którzy już w środku parowu grozili. Szło nie o to, aby się ocalić, gdyż ocalenie było nie podobiestwem, ale by umrzeć rycersko i walczyć do ostatka.

Dwóch Tatarów na pół wyżyny wąwozu ugodzonych śmiertelnie, stoczyło się konać na dno i wiło się o kilka kroków od Miecznikowej. Janasz celował do najbliższych. Coraz to wśród wrzasku tego krzyk rażonego słyszeć się dawał, a za nim mściwe odgłosy napastników, coraz bardziej rozjuszonych.

Jak zwity kłab węzów na wiosnę, kilkunastu razem Tatarów pusiło się wreszcie z góry wprost ku kobietom. Jednego z nich trafiła kula i posoką obluźgał wszystkich; spuścili się, ciągnąc z sobą już trupa na dół, a zaledwie oparłszy się o ziemię skoczyli ku wozowi i wprost do Miecznikowej.

Najpierwszemu, który się zbliżył, dopuszczając go niemal do siebie, gdy już ręką sięgał, aby ją pochwycić, pani Zbońska roztrząsała głowę strzałem z pistoletu, padł — a dwóch innych rwała ją już za ramiona. Jadzia strzeliła nie wiedząc sama jak, spostrzegłszy dziką, zwierzęcą twarz nad sobą. Janasz był tuż i z dobytą szablą płał, co napadł.

Książę Żudra, który nie miał broni, wyłamał większym gwałtownym łusznik od wozu i bił nią po łbach cisnących się napastników.

Chwila była straszliwa.

Wśród tej wrzawy krzyk i tentent głośniejszy niż dotąd zawrzał od doliny. Janasz odwrócił się, spodziewając ujrzeć za sobą Tatarów, którzy mogli teraz się już na kark prawie bezbronnym, gdy ze zdumieniem postrzegł, że ta tłumy co opasywała do koła, zaczynała się rozprzeczkać szybko. Niektórzy popuszczali nawet konie, które samopas rozbiegały się po dolinie. Z prawej strony sypnęły się z niewidzialnego miejsca, osłoniętego drzewami, strzały broni ognistej, w ostatku z małego działka połowego huknęła kula. Tatarowie pierzchali.

Ci, którzy byli w wąwozie, usłyszeli nad sobą krzyki i nawoływania, stanęli niepewni co to znaczyło, a ciągle ostrzeliwani, zaczęli się mięsać i jedni napowrót na górę usiłowali się wydostać, drudzy wąwozem zbiegali.

Niewidzialna siła jakaś przysłała w pomoc. Jeszcze chwila, a z Tatarów zostali tylko pozabijani i dogorywający. Zdumienie ogarnęło wszystkich. Janasz, któremu z kilkunastu ran krew płynęła, odwrócił się jeszcze ku dolinie, i ujrzał niepočetně wyglądającą konnicę i piechotę, która gnała za Tatarami.

Miecznikowa dopiero teraz czując się ocaloną, osłabła i oprzeć się musiała na córce, której lice pałało. Słowa jeszcze przemówić nie mogły obie, ścisnęły się ze łzami. Ludzie opatrywali sobie wzajemnie rany, bo wszyscy niemal byli ranni, ale uszedłszy śmierci i jassyru, śmieli się już i wykrzykiwali.

Ks. Żudra zsiadł z konia.

— Na kolana — co należy Bogu! za ocalenie. Stał się cud!

Janasz chciał się z konia zsunąć, ale zaledwie nogą dotknąwszy ziemi, uczuł mrok jakiś na oczach, chwycił się za piersi i upadł. Nikita ranny także, podchwycił omdlałego.

W chwili, gdy kłęcząc się modlili, a ks. Żudra głośno odmawiał: „Ożeś ci i chwala, Boże zastępów!“ na przeciw wąwozu ukazał się na koniu mężczyzna.

Podniósł czapkę, czekał, aż się skończy modlitwa.

Wszystkich oczy zwróciły się ku niemu. Człek był nie powszedni i nie z tych co się każdego dnia

spotykają. Statury ogromnej, lecz jakby z samych kości z budowany, chudy, coś miał bohatera i wiele Don-Kiszota w sobie. Łeb śpiczasty, twarz długa a żółta, wąs siwy ogromny, szyja żylasta ogorzała, nogi długie, ręce niedźwiedzie, w pasie wązki, w piersiach szeroki; na koniu silnym i roslym, wydawał się, jakby z teatru wyjechał na pobojuwisko. Strój też miał na sobie osobliwy. Kaftan łosiowy pikowany spodem, na nim kontusz wytarty z grubego sukna pasowego, na piersi kawał zbroi i rymgraf złocisty z Matką Boską, na głowie misiurkę złoconą z czepcem drucianym, a w nią u góry wpięte pióro czaple. Szarawary jedwabne karmazynowe, buty do kolan, za pasem pistolety, szabla u boku, rusznica u siodła. Wszystko to nie wytworne było, zużyte, stare, ale mocne, a sam człek krzepki i zawiedły.

Popatrzał na kobiety, na omdlałego Janasza, na ludzi postrzelanych i leżące trupy i... przeżegnał się.

Potem powoli z konia zszedł. Pacholek za nim jadący, stary i siwy jak on, zaraz wziął wierzehowca. Po za nim przebiegło kilkadziesiąt jezdnych goniących Tatarów i nadbiegła odarta piechota z berdyszami i rusznicami, która dalej pociągnęła.

Zdała jeszcze stojąc u konia, przez respekt dla kobiet, nieznajomy pociągnął żupana i kontusza, poprawił misiurki, zbroję nieco przechyloną w miejscu osadził i kręcąc wąsa zbliżył się powoli a poważnie.

— Submittuję się — rzekł kłaniając zwolna i rękę przysuwając do misiurki. Jeśli się nie mylę — jaśnie wielmożna Miecznikowa Zbońska.

Podniosła się z ziemi pani Miecznikowa wpatrując w dziwne to zjawisko.

— Przypominam się, miałem to ja honor i szczęście lat temu, prawda dziesięć, przez półtorej godziny, gościć w Mierzejowicach, pułkownik cudzoziemskiego autoramentu, straży nateraz granicznej, Jan Gracyan Dułęba.... tak, mościu dobrodziejko, z tych starych Dułębów, karmazynów.

— Winniśmy ci, pułkowniku życie i wolność! lecz jakimże sposobem?

— Ale, ba, opatrność Boża — rzekł Dułęba. Ja tych psich synów, z pozwoleniem pani, tępie, ścigam i jak mogę nekam. Otóż Bóg mi dał że ich zwachawszy, w Czarnej Bałce na zasadzce schwytałem.

Spojrzał na Janasza. Jadzia cała we łzach, przyklekła była przy leżącym i płakała ocierając mu twarz ze krwi.

— Nic mu nie będzie — temu młodzieńcowi, trochę krwi stracił, a no, wody — rzekł Dułęba. W wózku była szczęściem i woda w baryłce i wino. Jadzia już cała rannym zajęta, pobiegła po jedno i drugie.

Pułkownik spojrzał znowu na leżące trupy Tatarów, z których jednego ubiła Miecznikowa, drugi ranny był strzałem Jadzi i oderwaną miał szczękę.

— I myśmy dziś wyszły na żołnierzy, odezwiała się Miecznikowa, jednego, zdaje mi się, zabić ja musiałam, drugiego postrzeliła Jadzia.

— Tak jest niezawodnie! — rzekł książę Żudra, bom na to własnymi oczyma patrzyłem....

— Heroiny! heroiny! — zarował Dułęba, a jam dziś szczęśliwszy niż w całym życiu moim, zem tak w porę przybył, ażeby ocalić drogie życie wasze.

— Jeden z naszych zabity, odezwiała się Miecznikowa.

— W dobrej sprawie zginął — rzekł Dułęba — piękna śmierć, niema go co żałować. Umrzeć trzeba, a jużci lepszego zgonu niema jak w polu, bodaj od tej paskudnej strzały tatarskiej.

Gdy Dułęba spokojnie, wyprostowany rozprawia z Miecznikową, Jadzia ciągle kłęcząc nad Janaszem, cuci go i ociera. Własną ręką musiała przemagać obawę i wstręt, wyjąć kilka strzał, które jeszcze tkwiły w nim. Rany nie były niebezpieczne, lecz było ich wiele i krew płynęła obficie. Janasz począł się ocucać, oczy otworzył, zobaczył twarz Jadzi i przędko je zamknął.... Dopiero po chwili głos jej usłyszawszy, przyszedł do siebie i podnieść się usiłował.

— Panno Jadwigo, proszę iść, do matki, rzekł — proszę, i oczyma wskazał ku niej. Jadzia się nie ruszała. Wyciągnął ku niej rękę nie czując, że krwi była pełną, Jadzia uściśnęła ją, zaczerwieniwszy się gdy ciepłą tę krew uczuła. Nikita szepnęła, aby

odeszła i dała się nareszcie zgnalić do tego. Spojrzała na rączkę swą zakrwawioną i wzdrygnęła się.

Pułkownik naglił do powrotu....

— Jeżeli pani Miecznikowa pozwoli, przeprowadzę do Gródka — rzekł — choć w drodze niema się czego obawiać. Tałałajstwo to, gdy raz pierzchnie, bierze nogi za pas i nie oprze się aż na stepie.

Ksiądz Żudra się zajmował rozporządzeniem powrotu. Janasza trzeba było położyć na wózku, bo zdało się że konno jechać nie mógł. Na luźnego konia, musiano ciało zabitego przywiązać, aby go nie zostawiać tak na pastwę nocną dziakiemu zwierzu.... Duleba samowtór ofiarował się do konwoju, rozporządziwszy swoim oddziałem. Nim jednak przyszło do wyruszenia z miejsca, Nikita rany Janaszka pozawiazywał, obmył, i Korezak napiwszy się trochę wody i wina, wstał o swęj sile. Błady był wprawdzie, nogi miał niebardzo pewne, lecz zaklinał się, że z pomocą Nikity na koniu dojedzie.

— Dlaczego dojechać niema? — zawołał Duleba, ja płatniety przez Turka w ramię do kości, *horribile dictu*, rana była choć w nią dłoń wpakować, trzy mile jechałem do obozu i dopiero zemdlał, gdy już nie było nic lepszego do roboty. Kawaler młody, a rany tatarskie, to tak jak po dużych komarach.

— A! westchnęła Miecznikowa patrząc na Janasza, za mnie to ty nieboraku pokutujesz, boś mnie od wycieczki odwodził! — a jam się uparła, a Dorszak ten....

— Gdzież Dorszak? — spytał Duleba — był on tu? Zabili go może.

— *Ni fallor*, — rzekł ksiądz — *fugam dedit*, dra- pnał.

— E! to kawał franta, żeby nie rzec gorzej! mruknął pułkownik — ja go znam i zdała nań mam oko. Jeżeli nie — *infamis*, niewiele do tego braknie.

Westchnął. — O! ja go zdawna znam — dodał — ja tu na Podolu od lat wielu. Ten człowiek mi Ormiankę, z którą się żenić miałem, pochwycił, obałmuciwszy rodziców, z pod nosa i z serca. Jeśli przypadkiem zginął — no — to powiem tylko, że tak delikatnej śmierci nie wart był. Winien umierać na gnoju. Pułkownik wesa pokreślił.

Miał swadę, jak widzimy, nawet w najprzykrzejszych życia okolicznościach, łatwą i obfitą. Na ten raz szczęściem to może było dla pań i księdza, bo im dozwalało uspokoić się — i milczeć. Duleba mówił za wszystkich.

Janaszowi Nikita pomógł wsiąść na konia. Jadzia nie spuszczała go z oka. Dwóch ludzi miało jechać koło niego, pułkownik dosiadłszy swojego rumaka, ruszył przodem, trzech ludzi za nim, dalej Janasz ze dwoma, wózek i reszta jezdnych, wiozących ciało zabitego.

Ranna podróż była wesołą — lecz jakże okropnie skończyła się, jak straszne po sobie zostawiła wspomnienia! Jadzia chwilami przypominając sobie co przeżyła, wzdrygała się, chwyciła matkę i płakała całując ją. Miecznikowa modliła się i płakała także. Ta chwila ostateczna, w której już same się bronić musiały, stała im jeszcze przed oczyma. Coś w tem było straszego jak sen — nieprawdopodobnego, jak zmora, ale dosyć było spojrzeć na Janasza bladego, jadącego przodem, a Jadzi na okrwawioną rączkę, której obmyć nie chciała — aby wierzyć w rzeczywistość.

Jechały milcząc obie przytuliwszy się do siebie. Pułkownik, chociaż go nikt nie słuchał, rozprawał głośno, niekiedy zwracając się do Janasza i księdza i wywołując ich aprobację.

Gdy z wawozów, które się im wydały teraz nieskończenie dłuższymi, wydobyli się na dolinę, w której zamczysko na jaśniejszem niebie czarno stało i ponuro, był już wieczór późny, noc prawie. W miasteczku ledwie parę okien świeciło.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Zakopane, w Lipcu 1874 r.

Czarowne Tatry! Komuż, kto raz w życiu stapał po hardej, waszej piersi, nie zadrży serce radośnie

na wasze wspomnienie! W ponurych miesiącach zimowych, już sama myśl, że w przyszłym lecie ujrzy się uroczy łańcuch granitowych iglic, że się odechnie lekkim powietrzem górskim, napęlnia serce niewymowną błogością — i najprzód na miesiące, potem na tygodnie, na dnie, na godziny liczy się odległość chwili wyjazdu. A gdy siadiesz na wózku góralskim i przebędziesz most na Wiśle, niecierpliwosc zdwaja się, rośnie, olbrzymieje i zdaje się, że drogi nie ubywa, że nigdy nie wybijie upragniona godzina przyjazdu na miejsce. Zwłaszcza ostatnie trzy mile od Nowego Targu do Zakopanego wiek trwają; nakoniec ukazuje się po prawej stronie gościńca słup w białe i czerwone pasy pomalowany, a na nim na owalnej tablicy napis „Zakopane.“ Znam wielbicieli Tatrów, którzy przed tym słupem, jakby przed figurą przydrożną uchylają kapelusza: czyż nie jest to najwymowniejszym dowodem uruku, jaki wywierają Tatry na ludzi obdarzonych silniejszym uczuciem i gorętszem sercem? czyż nie daje wyobrażenia w jak cudownie piękną sukienkę Bóg tę okolicę ustroił.

W tym roku wcześniej niż zwykle zaludnia się Zakopane. Kiedy po inne lata dopiero w połowie lipca zaczynali zjeżdżać się goście, tego roku pierwsi przybysze drugiego tego miesiąca byli już w miejscu. Korespondent nasz przyjechałszy dnia 6, zastał już trzecią część mieszkań, których tu jest pięćdziesiąt sześć, zajęte, a resztę zamówioną tak, że zaledwie parę ich pozostało dla tych, co się wcześniej o mieszkania nie postarali. Pomiędzy góralami rozeszła się wieść, że pół Warszawy do Zakopanego przyjedzie — więc podwyższyli cenę mieszkań, rachując na warszawskich gości. Jakoż nie omylili się, przynajmniej w części, w swej rachubie, bo goście warszawscy usprawiedliwili ich nadzieje. Jedna warszawianka zapłaciła wójtowi za dwie zwykłe izby 10 guldenów tygodniowo, bez sprzętów, pościeli i wszelkich wygód; druga także za dwie izby, za które w zeszłym roku 40 guldenów na dwa miesiące płacono, ofiarowała gospodarzowi Szóstakowi, 150 guldenów. Jeżeli tak dalej pójdzie, to ludzie nie mogący rozrzucić pieniędzy, będą musieli wyrzec się pobytu w tem cudnem ustroniu.

Są tu aż trzy restauracye, bo oprócz dwóch oddawna istniejących, zjechał w tym roku właściciel hotelu z Nowego Targu, Salomon Herz, z postanowieniem zabicia — forma retoryczna — dwóch restauracyi dawniejszych, zamiar jednak ten nie znalazł poparcia u gości i przynajmniej jak dotąd spekulant nie wiele wyspekulował.

Zawiązane w tym roku Towarzystwo tatrzańskie, wszelkimi sposobami stara się wszystkim w ogóle, a w szczególności członkom swym uprzyjemnić pobyt w Zakopanem; w trudno dostępnej dolinie Strązysk, wiodącej ku wodospadowi Siecznej, zrobiono cztery mostki i wyrównano niedostępniejsze ścieżki, tak iż ją wygodnie osoby nawet do drożyn górskich nie przywykłe zwiedzać mogą. Przy Morskiem Oku, gdzie koniecznie nocować trzeba, kończy się budowa obszernego domu o czterech izbach, a drogę jezdnią, niedostępną prawie, szybko naprawiają. Rozpoczyna się budowa szałasów przy stawie Czarnym i Gąsiennicowym — naprawa drogi do Czarnych i Gąsiennicowych stawów, oraz drogi do ciepłego źródła Jaszczurówki. Wkrótce i tratwy na większych stawach będą gotowe. Zapisano siodelka alpejskie dla dam. Oprócz tego założono maleńką resursę w Zakopanem w domu Krzeptowskiego: jest tam 10 dzienników, szachy, domino; bilard za parę dni przywiozą, a rzeczy to potrzebne, zwłaszcza gdy parotygodniowa zaskoczy ślota, lokal resursy będzie przyjemnem miejscem wspólnych pogadanek. Dotąd jest około dwustu członków, każdy opłaca wstępnego trzy guldeny, a potem płaci pół guldena miesięcznie. Pieniądze można za cały rok z góry opłacać, a przysyłać je na ręce pana Maksymiliana Nowickiego, profesora uniwersytetu. Jest to towarzystwo na wzór wielu alpejskich. Prócz różnych ulepszeń ma na celu także badania przyrody Tatrów, wydanie dokładnej mapy i ochronę kozie i świstaków.

Że te rzadkie, a wielką ozdobę Tatrów, w których jedynie u nas żyją, stanowiące zwierzęta dotąd zupełnie nie wyginęły, zawdzięczyć to należy jedynie dwóm zacnym naturalistom, wspomnianemu wyżej profesorowi Nowickiemu i profesorowi Janocie. Oni to z szczupłych swych pensyi opłacali od r. 1864

straż górską, strzegącą kozie i świstaków od leśnych rabusiów. Za ich staraniem sejm uchwalił ustawę karną na zabijających kozy, a ustawę tę Najjaśniejszy Pan sankcyonował; przepisuje ona kary grzywnien. Aż po rok zeszyły komisya fizyograficzna krakowska przyczyniała się do opłacania straży, lecz gdy fundusze bardzo ograniczone nie pozwoliły na wydatek, a dwaj profesorowie nie mogli nadal ponosić zbyt wielkiego dla nich ciężaru, strażnicy: Sieczka i Wala, pomimo obietnicy że później będą zapłaćeni, porzucili straż, a rabusie zwierzyni poczelę na nowo tępić kozice. Sejm pomimo kilku próżb i listów gorących pisanych do księcia Sapiehy, marszałka, dotąd nie może się zdobyć na wyznaczenie 400 guldenów rocznie; a przecież to wstyd dla sejmu, żeby nie dał środków ochrony dla zwierząt uledeż mogących w krótkim czasie zupełnemu wyciępieniu.

I jakże ma ustawa poskutkować, kiedy wykonawcy jej sami protegują rabusiów! Jeden z adiunktów starostwa Nowotarskiego, namawiał górala do zabicia kozicy, a sam pan starosta skazał pewnego leśniczego na karę 5 guldenów zamiast 50 — i dopiero skarga podana do namiestnika wyrok ten stronniczy zwała. Pan starosta nie wie jak widać jaką wagę naturalisci przykładają do ochrony ginących gatunków zwierząt; nie wie, że gdyby podniesiono tę sprawę w dziennikach zagranicznych, co łatwo być może, naraziłby się na pośmiewisko uczonego świata. Obecnie Towarzystwo tatrzańskie ustanowiło straż górską, oczekując aż sejm udzieli fundusz potrzebny na jej powiększenie, boć przecie to jasne, że dwaj strażnicy na 10 mil kwadratowych nie wystarczą.

Przebaczenie mi ten ustęp nieco przydługi, lecz sprawa cięży mi na sercu; należy poruszać ją gdzie można, bo dzienniki galicyjskie, zajęte wielką polityką i nieprzyzwoitami kłótniami, nie mają na to miejsca.

Członkiem założycielem Towarzystwa może być każdy kto złoży 100 guldenów jednorazowo. Uwolniony następnie od corocznych składek, używa on wszelkich przywilejów i przyczynia się do najważniejszych ulepszeń, które zwłaszcza w początkach są niezbędne. Towarzystwo w przyszłości starać się będzie o ułatwienie swym członkom podróży w Tatry, wyszukiwanie i najmowanie mieszkań, kształcenie dobrych przewodników, urządzenie wycieczek i zabaw.

Uderzającą jest rzeczą, że pomiędzy licznymi gośćmi, prawie zupełnie niema młodzieży z Galicyi. Jeżeli się napotka młodego człowieka, można się bezpiecznie założyć, że to Warszawiak lub z innych stron królestwa i cesarstwa. Na wycieczkach, w miejscach niedostępnych napotyka się ludzi starszych, szpakowatych, wdzierających się z zapalem na strome szczyty, kobiety nawet nie lękają się trudów. Zdziwiony tem zapytałem zeszłego roku jednego z młodych Krakowianów o przyczynę obojętności takiej.

— Proszę pana a co tu robić? ja sam wyjeżdżam i żałuję, że się dał złapać: ani porządnego pokoju, ani dobrej restauracyi, ani kawiarni, ani nawet uczciwego spaceru — a wspinać się na góry, męczyć się i niszczyć zdrowie: dotego nie mam najmniejszej ochoty.

Otóż to młodzież terazniejsza!

W zeszłym roku bawił tu znakomity nasz lekarz Dr T. Ch. Wystawił on na szczycie beskidowej góry: Gubałówki, żelazny krzyż ¹⁾ w tutejszych kuznicach odlany. Szkoda tylko, że krzyża tego kosztownego, z powodu wielkiej wysokości góry, prawie z Zakopanego nie widać, bo trzeba mieć bardzo bystry wzrok, żeby go dojrzeć ze wsi. Gdyby zamiast wydania kilkuset guldenów, p. Ch. sprowadził był z pobliskich Węgier kilka olbrzymich modrzewi, stanąłby krzyż nad całą okolicą panującą, a odsetki od złożonego listu zastawnego na 1,000 złp., wystarczyłyby na odnawianie krzyża po wieczne czasy.

Lato obecne obiecuje piękne pogody i gdy w okolicach Krakowa żyta już żółkną na polach, tu wiosna w całej piękności. Łąki niepokoszone pyszną się różnobarwnem kwieciami. Skowronki napełniają

¹⁾ O tym krzyżu była niedawno wzmianka w „Bluszczu“ w artykule opisującym pobyt w Zakopanem. (Przyp. Red.).

wesołem piem powietrze. Na górach tu i owdzie ieszcze śniegi bieleją: powietrze tchnie dziwną świeżością, a wody górskich potoków pędząc po kamieniach w szalonych podskokach, dopełniają piękności obrazu, wielka szkoda, że gospodarka leśna prowadzona jest z nadzwyczajną nieoglednością.

Dawni właściciele Homulaczowie sprzedali przed pięciu laty Zakopane Eichbornowi z Berlina. Na nieszczęście wypuścił on huty Zakopańskie w dzierżawę żydom, którzy na potęgę niszczą lasy. Trzeba wiedzieć, że pomiędzy skalistym łańcuchem Tatrów a Zakopanem, są przedgórza lesiste, zwane przez lud Reglami, a stanowiące najpiękniejszą ozdobę, warunki życia, zdrowego powietrza i urodzajności doliny Zakopańskiej. Regle te w naszych oczach tracą swą lesistą szatę, a gdy lasy wytną, nastąpi to co nastąpiło po drugiej stronie Tatrów w Ornawskim. Wycięto tam lasy, a z ich zagładą wody górskie więcej niż o połowę prądy swe pozmięszczały. Nawalne deszcze splukwały urodzajną ziemię i pustka jałowa zajęła jej okolice. Byłoby to niepowetowaną stratą, gdyby i tutaj tak się stać miało; chorzy i turyści nie mieliby już po co do Zakopanego przyjeżdżać; jeśli właściciel nie ulituje się nad lasami. Tu trzeba porządnej i systematycznej gospodarki, bo raz wyciętego ze szczeniem lasu nie zastąpi.

W końcu udaję się z prozbą do Redakey „Bluszczu“, o przemówienie do naszych pań warszawskich, ażeby strojów, matery i koronek do Zakopanego nie przywoziły: raz że to ubiory niepraktyczne do tutejszego klimatu i miejsca; powtóre że dotąd panowała cudna prostota strojów—suknie wełniane i perkalikowe daleko wdzięczniej stroiły piękne nasze panie od ciężkich matery, a właśnie używanie ich w Krynicy i Szczawnicy, sprawiło, że zamiast przepędzać czas na przechadzkach i kuracji, marnuje się go przy toaletach, a biedniejsze chore, nie mając na tyle zdrowego rozsądku, żeby zamowniejszych nie naśladowały, nie chcą przyjeżdżać do wód, jedynie dla toalety, aby się nie narażać na posmiewisko.

Druga prozba do pań, żeby górali przepłacaniem nie psuły. Biedny to lud, ale uczą go podstępów wszelkiego rodzaju, pochlebstwa i zdzierstwa i tym sposobem demoralizują. Należy się targować o wszystko, a za to jeśli ma się chęć dopomódz dać przy odjeździe hojniejszy datek, dać wreszcie kto chce, kilka lub kilkanaście guldenów na książki, mapy do szkoły, na zasiłek biednego ucznia, ale nie popisywać się z nierozsądną hojnością, bo to tylko jedną stronę śmiesznością okrywa, drugą psuje.

Konczę mój list—słońce tonie po za szczytami gór. Całe niebo pokryte złocistą chmurką szatą. — Sine szczyty Tatrów grają w najrozmaitsze odcienia; powietrze tak cudowne, przyroda tak piękna, że pióro z ręki wypada, a dusza wyrwa się w przestrzeń.—Trzeba korzystać z wieczornej przechadzki—i złożyć pióro.

ZEPCHNIĘTY W DÓŁ ¹⁾

(przekład z angielskiego).

— Zaprośmy go do siebie na czas jakiś—rzekł pan Mateusz Todhetley z Dylle Manor, dziedzic Crabb-Cot z przyległościami.

— Byłaby to wielka dobroć z twojej strony—zawołała z wdzięcznością pani Mateuszowa Todhetley.

— Wielka dobroć! powtórzył squire Todhetley.—Gdybym tak ja był biedakiem zamkniętym między londyńskimi murami, wśród wiekuistej mgły albo kurzu i gdyby mi było potrzeba dla zdrowia trochę odetchnąć świeżym powietrzem, a familia, którąbym miał na wsi, nie zaprosiła mnie do siebie, powiedziałbym o niej, że warta zjeść licha!....

— Jest to nie mniej wielka dobroć, żeś pomyślał o tem—rzekła żona.

— No, siadaj zaraz i pisz, niech przyjeżdża do nas—zakończył mąż.

Squire Todhetley i jego żona rozmawiali tak wczesnym wiosennym porankiem, siedząc w jadalnym pokoju przy śniadaniu, w czasie którego pani Mateuszowa Todhetley odebrała list z poczty londyńskiej. Chodziło o jej krewnego, pana Jakuba Marks, który mieszkał w Londynie, gdzie był urzędnikiem w wielkim banku handlowym Brown i Współka. Pokrewieństwo było dalekie: byli sobie cioteczniemi od ciotecznych, i pani Mateuszowa tylko, że pamiętała o istnieniu krewnego, którego nie widziała od pójścia za mąż. Za panińskich jej lat zostawali z sobą przecież na poufalej, rodzinnej stopie, bo kuzynek z Londynu przyjeżdżał do jej ojca, a swego ciotecznego wuja na święta Bożego Narodzenia, a czasem i na wakacje letnie. Nie bardzo widać powiodło mu się w życiu. Był dotąd buchalterem tylko, ożenił się i miał kilkoro dzieci. Czasem pisywano do siebie; głównie pani Mateuszowa Todhetley mając kogoś do polecenia w Londynie, zwracała się do kuzynka, ale na tem ograniczał się stosunek. Niedawno przecież przyszło pani Mateuszowej do głowy a raczej do serca, aby dowiedzieć się coś o człowieku, którego za młodych lat lubiła, a którego jej ojciec liczył do rodziny. Przysnił jej się podobno i napisała; a teraz odebrała odpowiedź: list pisany przez nieznaną jej żonę p. Jakuba, jak to zwykle bywało. Żona prowadziła korespondencyę, tłumacząc zawsze męża brakiem czasu, zajęciami biurowymi, a teraz donosiła, że ma się niezupełnie dobrze, że jest zmęczony pracą nad siły, których nadużywa, to też potrzeba mu było odpoczynku i wytchnięcia na świeżem powietrzu.

Pan Jakub Marks został bardzo młodo, bo w dwudziestym roku sieroty; z porządnej rodziny szlacheckiej, ale bez majątku, musiał sam wyrabiać sobie stanowisko i nie mając rodziców, sam pokierować się w świecie. Mówią ogólnie, że przy wykształceniu, jakie posiadał, nie jest to dla męczyzny nieszczęściem, a nawet że tacy lepiej wychodzą, niż panie z majątkiem, którzy wcześniej nauczą się nie pracować, ale tracić. Pan Jakub wierzył w to, jak w ogóle synowie szlacheccy, miał pewną dozę ambicyi, ale była to ambicya szlachetna. Chciano go zatrzymać na wsi, chciano ożenić z majątkiem, a że był bardzo przystojny i ze znanej rodziny, można było liczyć na to. Ale cofnął się dumnie przed takim losem i poszedł inną drogą, na której chciał wszystko zdobyte zawdzięczać samemu sobie: swoim zdolnościom i pracy. Pojechał zatem do Londynu i wszedł do banku handlowego, gdzie wyrobił mu miejsce jakiś szkolny kolega jego ojca, a w okolicy mówiono ogólnie, że niewątpliwie zrobi majątek. Przytaczano naprzykład wszystkie znane a świetne karyery w zawodzie finansowym, i może młodzieniec miał sam trochę tej nadziei. Ale nadzieja zawiodła: obecnie miał już 42 lata, a żadna perspektywa fortuny nie otwierała się przed nim. Pracował od rana do wieczora, przecież zarabiał mało co więcej, niż w chwili rozpoczęcia zawodu—jak wtedy, tak i teraz zarabiał tylko na utrzymanie.

Jest w Londynie mnóstwo ludzi w tem samym położeniu. W poranku życia wesoły i szczęśliwy młodzieniec śmiało staje do pracy, wierzy w siły swoje i jak przyjaciele pana Jakuba Marks, stawia sobie za przykład wszystkich tych, dla których koło fortuny wyrzucił wielki los szczęścia. O tych, którzy nie nie wydostali z pod tego koła, nie myśli się wcale. Ci biedacy cicho w dół schodzą i nie widać ich, nie słycać ich o nich. To też nie straszą innych swoją dola, nie pokazują młodości, która śpieszy w szranki długich lat suchej, jednostajnej pracy, przy której garbią się plecy i wypatrują oczy, a która jak woda cieknąca kroplą po kropli, zabiera życie, dzień po dniu, zostawiając na całe jego używanie jeden dzień niedzieli. Tych nieboraków nie ma na froncie; młodzi, którym ta ich młodość i świecąca jej nadzieja, czyni każde życie łatwym, nie dowiadują się od nich szczegółów tego życia: — Tyle zarobisz, co zjesz—a zjesz co zarobisz.... Nie przeglądają się w zwierciadle ich losu, nie widzą się w niem podstarzałymi ludźmi, z podstarzałymi żonami, z dziećmi....

Pan Jakub Marks doszedł już do tej granicy: ożenił się, miał kilkoro dzieci, przeszło czterdzieści

lat i dwieście funtów ¹⁾ pensyi. Z tego trzeba mu było, utrzymując pewien choć pozór człowieka z klasy wyższej, płacić mieszkanie, żywić i ubierać siebie, żonę i dzieci. I nauka tych dzieci zaczynała już coś kosztować, a od czasu do czasu trzeba było brać w rachunek doktora i aptekę.

Kiedy wydatki zaczęły się tak mnożyć, pan Jakub zaczął myśleć o pomnożeniu zarobku, o przybraniu jakiejś pracy. W sasiedztwie—mieszkał na Pimlico — był wielki skład masła i sera, maślarz robił wyborne interesy i zapotrzebował kogoś, któryby przychodząc na dwie lub trzy godziny wieczorem, trzymał mu księgi rachunkowe. Pan Jakub przestawił się do tego zajęcia i został szczęśliwie przyjętym, a jedynym warunkiem, jaki położył ze swej strony, był sekret co do jego osoby. Nie chodziło tu o dumę szlachecką, broń Boże! ale w banku mogliby się skrzywić na niego, że kompromituje firmę. Maślarz, dobra dusza, przystał na sekret i rzecz się ułożyła pomyślnie—to jest że gdy pan Jakub wrócił do domu z bióra, to zamiast spokojnie siąść z żoną do pogawędki, zamiast rozebrać się i poczytać sobie choć gazetę, a w ładny czas letni wyjść trochę na świeże powietrze, wypijał prędko herbatę, która stanowiła dla niego kolacyę, szedł znowu psuć oczy i męczyć mózg, rachować i kreślić cyfry, dodawać i odejmować.

Wyjąwszy soboty, która wymagała dłuższej pracy, umiał się tak prędko załatwiać z robotą, że wychodząc od maślarza o dziesiątej, przed jedenastą wracał do domu. Było to przecież przeciążanie się pracą i nieraz idąc spać myślał, czyby nie lepiej było schować dumę do kieszeni, nie dbać co będą myśleć lub mówić w banku, i w miejsce ślęczenia nad księgami maślarza w ciasnej ciupce za sklepem, zgodzić się u niego na wieczornego pomocnika do sklepu. Ważąc ser i masło, zawijając je w bibułę i podając kupującym, miałby przynajmniej trochę ruchu i rozmaitości—odmieniłby rodzaj pracy i dał wypoczynek umysłowi.

W liście nieznaney kuzynki, który pani Mateuszowa Todhetley czytała mężowi, był ustęp taki:— „Zdrowie Jakuba nie zdaje się niby najgorzem, nie można powiedzieć, aby kiedy chorował, ale lękam się niemniej czy nie pracuje za wiele. Pisałam to sama w ostatnim liście—wstyd mnie że jest już temu dwa lata — ale obecnie zaczynam się trwożyć mocniej. Mówi, że czasem doznaje dziwnego uczucia, jak gdyby coś mu się mąciło w głowie. Chwyta go wśród pracy jak gdyby nagle olśnienie: ciąg myśli naraz się urywa, cyfry mieszają się i musi ustać na chwilę, zasłonić oczy i posiedzieć tak kilka minut, albo wstać z miejsca i przejść się po pokoju. Parę razy wspominał, że gdy się położy, liczby tańczą mu przed oczyma, a choć nie śpi, dodaje je wciąż, lub odejmuje, jak gdyby albo spał i śniła mu się robota dzienna, albo pełnił ją rzeczywiste, siedząc przy biurku.

— A cóż za głupi człowiek, że od czasu do czasu nie rzuci tych bazgranin i nie odpocznie sobie—zawołał pan Mateusz. — Mógł poprostu przyjechać do nas, mówiąc:—potrzeba mi trochę oddechu!....

— Może nie mógł — rzekłem. Buchalterzy, a szczególniej w takich bankach, nie łatwo dostają urlopy. Ich robota płynie wciąż jak woda w rzece: co dzień jedna jest i ta sama.

— Niema za trzy grosze sensu w tem coś powiedzieć, Janku — odparł mi pan Mateusz ruszając ramionami. — Więc że robota ciągle płynie, to człowiek ma się na śmierć zarobić! — Czyż to panowie bankierzy, panowie dyrektorowie są sami ze stali i nie wiedzą, że urzędnik—nie sprężyna. Praca pracą, a życie ludzkie życiem....

Pani Mateuszowa napisała natychmiast w swoim i męża imieniu, zapraszając pana Jakuba Marks do Crabb-Cot, ale stało się podług moich przypuszczeń. Za parę dni przyszedł z Londynu list, pisany już przez Marksa, list pełen serdecznej wdzięczności za pamięć, ale wyjazd w tym właśnie czasie, był dla niego niemożliwym. Był koniec kwartału, to jest były kwartalne rachunki do zdania—i p. Jakub nie mógł w żaden sposób skorzystać z zaprosin esquire'a i jego żony. Zrobiło to przykrość wszystkim w Dylle, esquire gniewał się i ruszał ramionami, ale powoli wrazenie się zatarło i zapomnieliśmy tej sprawy, aż w parę tygodni przyszedł list drugi. Pan Jakub

¹⁾ Powiastka jest ze zbioru zatytułowanego: Janek Ludlow Johnny Ludlow)

przypominał się dobroci kuzynki i pisał, że jeżeli łaskawe chęci nie uległy zmianie, mógłby wymknąć się trochę na wies, coby zrobiło mu wielką przyjemność. — Uczułem taką potrzebę spoczynku — pisał pięknym, wprawnym charakterem — żem musiał zażądać urlopu i otrzymałem go. Przyjadę na święta Wielkanocne.

Wielkanoc wypadła bardzo późno w tym roku — i śliczny, najzupełniej już wiosenny był dzień, w którym przyjechał, w środę Wielkiego tygodnia. Był wysoki, szczupły, ciemnowłosy i ciemnooki, z wyrazem i układem bardzo szlachetnym, można nawet powiedzieć, że wyglądał elegancko i miał w sobie coś pańskiego. Szkoda tylko, że nosił okulary, co mu zasłaniało piękne, duże, długie oczy. Zdawał się młodszym niż był rzeczywiście, choć włosy zaczęły mu już rzednąć i odsłaniać czoło. Były też tak jedwabniste i miękkie, że znać to było zdaleka i wiedziało się o tem bez potrzeby dotykania. Cała postać Marksa była delikatną.

On sam był w całym obejściu podobnie delikatny. Z początku okazywał się prawie nieśmiały, trzymał się ostrożnie pewnej granicy konwencyonalnej, i nigdy nie występował naprzód. Ale prędko ciepła atmosfera domu ogarnęła go i ogrzała, była przyjemność patrzeć z jaką rozkoszą używał wsi, jak wstawał rano, chodził, jak się cieszył tem, co nazywał „słodką naturą.“ — Ach! rzekł raz — jakie wy tu szczęśliwe, najszczęśliwsze pod słońcem życie wiedziecie! Żadnej pracy przymusowej, mimo to utrzymanie zapewnione! A oddychanie takim powietrzem, takim powietrzem, zdrowie, siłę, życie dajęcem! Co to za los...

— Daruj mi sir — dodał po chwili zwracając się do esquire'a — ale mimowoli porównywałem moją dolę z twoją...

Szliśmy w czasie tej rozmowy przez pole, wracaliśmy do domu od Sterlingsów, gdzie esquire uparł się koniecznie zawieść swego gościa, ale ten z powrotem uprosił się, aby iść — nie jechać. Żywopłoty okrywały się właśnie zielenią, łąka, którąśmy mieli po jednej stronie, mieniła się od tysiąca tych złotych kwiatków, które dają taką miłą woń i kolor wiosennemu masłu. Pełno też wyglądało z ziemi białych pierwiosnków, był poniedziałek po Wielkiej Niedzieli i czuć się dawała jakaś wesola świąteczność w okolo: słońce dogrzewało gorąco i świeciło całą masą promieni; powiewał wietrzyk bardzo łagodny. Gość wciągał czasem w siebie powietrze, chwytał je ustami: — Sześć miesięcy takiego życia — rzekł półgłosem — a stałbym się nowym człowiekiem...

Mówił to prawie do siebie, ale esquire usłyszał. — To użyj sir takich sześciu miesięcy — zawołał. — Widzisz przecież, żeśmy ci radzi z całego serca.

Pan Jakub Marks uśmiechnął się smutnym uśmiechem.

— Jest to sir zupełnie, to samo, jak gdybyś mi powiedział: — Wyciągnij rękę i weź sobie kawał nieba.... Sześć miesięcy życia bez pracy, jest dla mnie rzeczą równie niedoścignioną, jak błękit niebieski.... Ale cicho!.... Czy mi się zdaje, czy to kukłka?

Stanęliśmy nasłuchując. Była to istotnie kukłka, odzywająca się raz pierwszy tej wiosny. Zakuła dwa czy trzy razy, a my w milczeniu nadstawialiśmy jeszcze uszów przez chwilę. Pan Jakub wpatrzył się w dal rozmarzonymi oczyma, które się zwilżyły. — He to już lat jak nie słyzałem kukłki! zawołał — ile już lat!....

— Dwadzieścia — dodał po chwili, obliczywszy się widać w myśli — dwadzieścia lat.... Byłem wtedy młody i oh!.... jaki szczęśliwy....

— Co to za szkoda sir — dodał uśmiechając się — że bajką jest ten młyn czarodziejski, który starych ludzi na młodych przerabia. Dałbym się przemleć zaraz, natychmiast....

Esquire zaśmiał się. — Eh! — rzekł — co tam tobie Marksie mówić przy mnie o wieku.... Nie zdaje mi się jeszcze, żebym był starym, choć mam dwa razy tyle lat, co ty....

Była to *licentia poetica*. Esquire nie był wcale tak starym; miał może dwanaście, piętnaście lat więcej od swego gościa, choć na pozór różnica zdawała się wielką. Jeden był dobrej tuszy, ogorzały, zadomowiony, drugi wysmukły, blade — biały i niby delikatnie wypieszczony. Ale pozór młodości nie dawał

sił młodych; pan Mateusz Todhetley czuł się mocnym jak lew, jadł, spał, polował na lisy jak niedorostek, gdy Jakub Marks daleko już po za sobą zostawił dawną krzepkość młodzieńczą. To też potrzaskał głową: — Czuję się starym, sir — rzekł — starym bardzo i pewno pod najważniejszymi względami jesteś młodszym, niż ja. Jaka też jest różnica w naszych sposobach życia! dodał. — Ja przykuty do bióra więcej niż przez połowę dwudziestu czterech godzin doby; mordujący ustawicznie głowę i oczy, a ty sir, używający nieustannie zdrowej, szczęśliwej swobody....

— No, tak — odparł Esquire Todhetley z pewnym rodzajem mimowolnego zmieszania — biorąc rzecz z tej strony, jest różnica....

— Nie znaczy to przecież, abym się miał skarżyć — dodał zaraz Jakub Marks ze spokojną godnością. — Więcej ludzi, sir, jest w mojem niż w twojem położeniu. Nie skarżę się, tylko rzecz określam: zaznaczam jak los pański jest ponad inne wybranym, błogim stanem.

Nigdy może Todhetley nie pomyślał, o ile życie, które wiódł było godnem zazdrości i raz pierwszy zapewne słowa Jakuba Marks uczuć mu to dały. — Jest i w mojem położeniu dość pracy, dość zmartwień i kłopotów — rzekł przecież. — O! jest, jest.... Powiedz Janku, czy nie prawda? Czyś mnie nie widział nieraz całego w pocie, zmęczonego, zziąjanego, nie wiedzącego za co się pierwszej chwycić? A gdy przyjdą straty losowe, wypadki niespodziewane!

Jakub Marks uśmiechnął się leciutko. — Wiem, sir, że musisz mieć swój dział pracy i troski; wiem, że w każdym zawodzie muszą być pewne dolegliwości, przytem obowiązki i odpowiedzialność za nie; pracujesz niewątpliwie — ale jest różnica, między pracą a pracą.

— Esquirovi zrobiło się widać markotno. — Więcej przyznajesz sam, że się zapracowywasz — zawołał. — Przyznajesz to...

— Tak — rzekł Jakub Marks spokojnie — przyznaję, bo wiem, że tak jest....

— A dla czego to robisz? zapytał Todhetley żywo.

— Bo nie mogę inaczej — odparł Jakub Marks. — Jako nie możesz... Człowiek z twojem wykształceniem, z twojemi zdolnościami...

Marks przerwał mu. — Nie mogę — powtórzył poważnie.

— Niejeden z mojem wykształceniem i z mojemi zdolnościami ulega temu samemu przeznaczeniu — dodał wkrótce łagodniej. Tylko zastanawiam się nad tem nieraz, dla czego zmęczenie chwyta mnie wcześniej od innych?...

Nastąpiła pewna chwila ciszy, aż Esquire odezwał się nakoniec.

— Jesteś może za troskliwy, za sumienny w pracy — rzekł.

— Sumiennym jestem — odpowiedział Jakub Marks poważnie — nie mogę robić, byle zbyć, przejmuję się zawsze pracą i to może wpływa także. Ale głównie wpływa na to organizacja: jestem nerwowym. To mi dodaje czasem sił, podnieca chwilowo, przecież zsumowawszy wszystko, nerwowi ludzie prędzej się zużywają od innych.

Esquire przesunął mu rękę pod ramię: — Myślę że może czasem miewasz sir kłopotów trochę — rzekł idąc obok niego wazkim paskiem darniny. — Prawda?... przy niewielkiej pensji...

Nie dokończył, ale Jakub Marks zrozumiał go. — Tak — odparł — bywają nieraz i kłopoty... Nikt, kto nie mieszkał w mieście, nie wie co tam kosztuje rodzina — dzieci....

Znow nastąpiła przerwa w rozmowie. Marks zatrzymał się, zerwał pierwiosnek i rozdmuchwał go.

— Bracie — rzekł Esquire życzliwym, prawdziwie braterskim tonem — pozwól powiedzieć sobie słówko. Postąpiłeś sobie nierozsądnie, żeniąc się...

— Nie, nie sądzę, aby postępek był nierozsądnym, odpowiedział powoli, jak gdyby rozbiierał w umyśle rzuconą sobie kwestję. — Nie ożeniłem się zbyt młodo: miałem dwadzieścia osiem lat i już zebrałem sobie pewien zapasik na urządzenie domu i pierwsze wydatki. Nie działałem też nierozważnie; pamiętam czterech nas młodych jak ja wtedy postawiło sobie zagadnienie: — Co jest lepszem dla ludzi

w naszym położeniu: czy żenić się, czy żyć i starzeć się samotnie?

— Kawaler niema nigdy takich ciężarów — rzekł Todhetley.

— Tak — odparł Marks z łagodnym uśmiechem — tylko sam sobie cięży. Jest mnóstwo względów za i przeciw, przecież, sir, jestem pewny, że nie możesz stworzyć sobie pojęcia, co to jest życie kawalera w Londynie? Prawie połowa młodzieży, która tam szuka chleba, niema domu, to jest niema rodzicielskiego, rodzinnego domu, gdzieby udać się mogła po pracy. Samotny pokoik, gdzie cię nikt nie powita i nikt nie przebywa z tobą — oto ich dom. Czy można im się dziwić, że uciekają ztamtąd i że wtedy życie miejskie chwyta ich i ciągnie w głąbie swoje. Są w wieku, który najsilniej potrzebuje jakiegoś wesela, jakiegoś używania żywszego... atmosfery gorętszej; mają tyle pragnień, miasto ma tyle pokus....

— Bilardy! balety! koleżey klubowi! zawołał Todhetley potrzaskując głową i nie dając mu skończyć. — Przecież nie wszyscy dają się tem porwać — dokończył moralizującym tonem.

— Tak — rzekł Marks — wielu z meżką godnością podnosi się nad te zasadzki niskie, których, sir, trudno ci wyliczyć z imienia, choć z drugiej strony wielu z najszlachetniejszym postanowieniem w sercu, grzęźnie w nich nieszczęśliwie. Ale są niebezpieczeństwa innego jeszcze rodzaju: czyhają nieraz pod dachem, gdzieś sobie obrał schronienie, czasem są tuż za progiem twoim! A miłości nieszczęśliwe bez nadziei i przyszłości, a uczucie rozmarnowane na drobną, zdawkową monetę?! Czy nie lepiej więc pójść za pierwszym głosem serca i ożenić się, stworzyć sobie uchronę domową? Wprawdzie podnosi się przeciw temu niejeden wzgląd surowy: los kobiety, którą z sobą zwiążemy, przyszłość dzieci?..

— Niech mnie ubiją na miejscu, jeżeli wiem, co odpowiedzieć? — zawołał Todhetley zdejmując kapelus z głowy, aby mu wiatr ochłodził rozgrzane czoło.

Jakub Marks milczał chwilę, aż bawiac się ciągle kwiatkiem, który miał w rękę, rzekł powolnym głosem zamyszonego człowieka, który mówi w pół do siebie, w pół do drugich:

— Ja jeszcze byłem rozważniejszym, więcej liczyłem się z przyszłością niż inni. Synowie rodzin, którzy z dziada pradziada pracują na chleb powszedni, odważniej postępują w tych rzeczach, śmieiej się rzucają naprzód. Ja wyniosłem z domu trochę pewnych nawyknień, trochę może przesądów, trudnych do pozbycia. Sam mogłem się narażać na wszystko, ale moja żona! moje dzieci.... córki!.... To com widział u innych przenikało mnie trwogą, ale los zrządził, że kobieta, którą pokochałem, nie była zupełnie bez widoków na przyszłość. Była jedynaczką, a ojciec jej wdowiec, zebrał pewną fortunę, trzysta, czterysta funtów rocznego dochodu. Żył z tego przyzwoicie i zdawało się, że z czasem musi to stać się własnością córki...

— I któż go okradł? zawołał Esquire niecierpliwie.

— Ożenił się raz drugi — odparł Marks z uśmiechem. Człowiek był już niemłody, słabowity i dla tego nawet porzucił pracę. Był urzędnikiem w Banku Królewskim i jeszcze przed moim ślubem wziął dymisję dla odpoczynku i swobody, aż tu w niespełna rok po wyjściu córki z domu ożenił się. Wziął swoją służącą, rodzaj kucharki czy gospodyni, która była u niego przez lat kilka i jeszcze przy Karolinie zarządzała domem. Naturalnie, że moja żona uczuła to boleśnie, nawet już nie ze względów majątkowych. Ocieła bronić, przeszkadzać, ale człowiek słabego zdrowia i słabego charakteru był za mocno spletanym i skutek nastąpił tylko taki, że ojciec zerwał zupełnie stosunek z córką. Dziś już nie można liczyć na nic innego prócz własnej pracy mojej. Powiedz więc, sir, czy mogę założyć rękę?..

— Ale twoje zdrowie, bracie! wybuchnął Esquire, twoje życie! A potem coby było gdybyś... gdybyś nie mógł wcale pracować.

Esquire Todhetley nie miał wcale odwagi tłómaczyć się jaśniej, ale i tak dość jasno powiedział co myślał. — Niemówmy o tem, sir — odrzekł mu Jakub Marks zdziwnym wyrazem twarzy. — Nie chcę o tem myśleć.... Czasem mi się to śni i zrywam się przez sen, usiłując się obudzić — dodał zdejmując okulary

i patrzeć w Todhetleya pełnym przerażenia i niepokoju wzrokiem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

przez J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Z literatury powieściowej, o której bym coś chciał powiedzieć, wybiorę naprzód panny Marlitt, tylko co dokończoną w Gartenlaube i już na dramat przerobioną „Drugą żonę“, która już i w tłumaczeniu polskim ukazała się. Choć krytycy zazdrośni, jak p. P. Lindau, pozwalają sobie stroić żarty ze stylu autorki, jest to pewnie najbarziej utalentowana z kobiet piszących w Niemczech. Gdyby nie więcej nie wydała nad „Tajemnice starej panny“, „Złotą Elżbietę“ i „Hrabinę Gizellę“, zajęła by miejsce piękne w nowszej literaturze powieściowej. Autorka kryjąca się pod tym pseudonimem, żyje w zaciszu małego miasteczka w Turynii. Niedługo kształciła się ona na śpiewaczkę, ale choroba zmusiła ją wyrzec się powołania i dziś nie opuszcza krzesła, które otaczają siostrzenice i siostrzeńcy. Ze wspomnień pierwszych lat życia, spędzonych na jednym z małych dworów niemieckich snują się te słizne jej powieści, w których tyle jest barwy, życia i dramatyczności.

Pod imieniem także zmyślonem, Franciszka von Nemmesdorf, pisze nieznaną pani powieści zajmujące obrazami wyższych sfer towarzystwa, do którego należeć musi. Z dawniejszych znane są jej: „Rycerze naszych czasów“ i „Pod bronią“; ostatnia nosi tytuł: *Gentleman*. W nim, jak w poprzedzających jest wiele talentu w malowaniu charakterów i żywota społeczności, która w Niemczech tem więcej obudza zajęcia, im mniej jest dla innych warstw dostępna. Zaledwieby temu uwierzyć można, że tu się świat tak rozpada i dzieli jeszcze na kasty, ale wychowanie i obyczaj takie stanowią różnice między różnymi klasami społeczności, że prawie się temu dziwić trudno.

Miriam, powieść angielska Brant'a, przetłumaczona na język niemiecki. Kto lubi sensacyjne, obudzające żywą ciekawość, irytujące i niecierpliwiące opowiadania, ze znakomitym pisane talentem, może to przeczytać.

Żyją fantazją pisane są powieści wschodnie: „Pod maską i zasłoną“ przez C. von Vincenti, ale jaskrawo, świetnie, napuszenie, naciągawie do zbytku. Niemcy są tak ludne i wielkie, że i to znajduje czytelników i miłośników rodzaju, który nam nie smakuje. Już kto chce novelli, niech lepiej czyta słizne szwedzkie Goldschmidta, które Niemcy przetłumaczyli, bo oni też tłumaczą bardzo wiele. Powieści drobne tego autora miały kilka wydań w oryginale, w przekładzie również podobać się muszą.

Pod tytułem: „Die Klöppel-Lady“ pan Franz Carion wydał: „Życie biednego dziewczęcia“. Klöppel-Lady jest to Pani Klocków, na których się po saskich wioskach robią koronki. Bohaterką jest ubogie dziewczę „Reimisch Rösel“. Biednej dziewczynie, której cyganka przepowiedziała jakieś świetne losy, chce się w świat, a bardzo jej żal schorzałą matkę opuścić. Idzie tedy Rösel do Dreżna, do jakiegoś krewnego, który się trudni sprzedażą i roznoszeniem po domach, ale się jej ten sposób zarobkowania nie podoba. Bierze ją w opiekę artystka, która ujęta powierzchownością miłą i charakterem Rösel, stara się ją wykształcić i nadać jej formy pewne, nie tykając prostoty jaką ze wsi przyniosła. Tu sprawdza się poniekąd przepowiednia

cyganki: Rösel poznaje bogatego Anglika, pana Johna Watkins Wymm, który zapala się dla niej miłością wielką, ale musi ją porzucić, gdyż nań w Anglii czeka narzeczona, śmiała i awanturnicza istota, która szczęściem szalejąc konno, zabija się i wraca mu swobodę. Pozostaje wszakże matka, złośliwa, dumna, nie ubłagana, której syn słabego charakteru oprzeć się nie umie. Rösel znajduje się jako lektorka w Anglii, na dworze księżnej Walii, i tu John ją znowu spotyka. Miłość powraca, ale że inaczej zaślubić jej nie może kochanek, uciekają do Greet-na-Green i tam ślub biorą. Parę lat szczęścia. Rösel ma córeczkę. Nad spokojnym życiem zbierają się chmury groźne, małżeństwo jest potajemnem i przed matką tajonem. Ona przeznaczona synowi inną żonę swojego wyboru i zmusza go do opuszczenia Rösel, którą pod pozorem obłąkania zamykają w rodzaju więzienia. John żeni się z Baronną wedle woli matki, bo go przekonano, że Rösel, unosząc z sobą znaczną sumę, uciekła. Wydobyszy się na wolność istotnie uchodzi ona złamaną i znękaną, do wsi rodzinnej. John, któremu żona zmarła, dowiaduje się o losie nieszczęśliwej, szuka jej, znajduje, ale odzyskane szczęście już życia jej wyczerpanego ocalić nie może. Taką jest treść opowiadania, pomimo nagromadzenia wypadków tragicznych, spokojnie i bez przesady rozwijającego się, w sposób zajmujący. Historyczne tło, dwór księcia Walii, późniejszego króla Jerzego IV, dodaje barwy powieści; niektóre typy i charakterystyki wprowadzone są szczęśliwie, całość wykonana umiejętnie i z talentem, a pomimo to, jakoś się „Pani Klocków“ czyta obojętnie.

Pod nazwiskiem Talvj, ukazał się też zbiór nowelli i poezji utalentowanej autorki Teresy Albertyny Luizy von Jakob, której imion pierwsze głoski składają pseudonym. Wyszedłszy za mąż za profesora teologii i pisarza amerykańskiego Robinsona, i udawszy się z nim do nowej ojezyny, wydała w roku 1847: „Historię kolonizacji Nowej Anglii“, dzieło cenione i gruntowne. Urodzona w Halli, w początku roku 1797, zmarła przed czterema laty, przebiegła zakres dosyć długi pracy, bo pierwsze jej poezje pochodzą z roku 1813, a ostatnia powieść podobno z roku 1868. Umysł jej kształcił się, wyrabiał ciągłe. Z tego względu i zbiór nowelli ściąga uwagę. Między innymi jedna z roku 1820 (*Verfehlte Bestimmung*), ma za bohatera polskiego grafa, który powieściopisarzom niemieckim dawnym i nowszym służy często na rozmaite użytki. Jak prawie wszyscy grafowie tego rodzaju i ten nie ciekawie wcale wygląda, a kuzyn jego, który powoli truje zawadzającą mu Malwinę, jeszcze gorzej i jeszcze mniej prawdopodobnie. Nie mamy widocznie szczęścia u Niemców. Studyjmy nas na egzemplarzach wyjątkowych i zadawalniających się jakimś zewnętrznymi ogólnymi cechami, które do charakterystyki naszej zaledwie doliczyc się mogą. Ciekawym studjum byłoby zebranie polskich typów w powieści niemieckiej i nawzajem niemieckich w polskiej. Nie mamy miłości ku sobie to prawda, nas daleko więcej usprawiedliwia historia przeszłości i terażniejszości w niechęci naszej, niż Niemców, jednakże moglibyśmy dowieść, że umiemy w sądach być bezstronniejszymi.

Novelli pani Talvj (Robinson), treść jest czerpaną z najrozmaitszych źródeł i narodowości wszelkie się w nich spotykają. Autorka należy do tej szkoły, która w budowie niespodzianej, zawikłanej, i w sytuacjach niezwykłych, szuka oryginalności i opanowania czytelnika. Nie można zaprzeczyć, że zręczne osnucie wielką ma cenę w opowiadaniu, choć nie stanowi istotnej wartości jego. Zbiór nowelli znanego poety i romansopisarza płodnego, Juliusza Grosse (*Offene Wunden*), grzeszy tem samem poszukiwaniem dziwacznych położeń, nadzwyczajnych wypadków i typów niby oryginalnych. Znać w nich fakturę wprawna, ale więcej nic. I tu jedna z powieści znowu odbywa się w Ro-

sy, a dla odmiany ma niby społeczność nową malować, której autor wcale nie zna, lub o której ma pojęcie, jakie z trzeciej ręki zaczerpnął. Najbezpieczniej zawsze trzymać się świata, w którym się żyło i obraca.

Na teatrach nowości jest nie wiele, czas letni zwykle poświęcony bywa gościnnym rolom i powtarzaniem sztuk, które mają siłę przyciągającą średnią klasę, pozostała na miejscu, gdy możniejsi na cztery strony świata się rozbiegają. W Berlinie wielką wziętość mieli artyści z Mejnigen przybyli, z prowincyi, którzy grą swą niemal zaćmili stołecznych i po strąceniu kosztów, czystego zysku wywieźli 15000 talarów. Obiecują więc powrócić na przyszłą wiosnę.

W poznaniu budują się aż dwa teatry nowe, jeden niemiecki, na którego plan konkurs ogłoszono, drugi polski, który jest na ukończeniu.

Na niezbyt wielką ludność miasta złożoną z dwóch żywiołów, jest to niemal zbytecznym, ale rozdzielnie stało się koniecznością położenia. Oba teatry bez pomocy, z trudnością się utrzymać będą mogły na takiej stopie, ażeby wymaganiom sztuki odpowiadały. Za plan dla teatru niemieckiego, mającego 800 do 900 osób mieścić, naznaczono nagrody trzy tysiące mark (tysiąc talarów). Sędziami są: Semper z Wiednia, Lucas z Berlina i Schwemer (dyrektor teatru) z Wrocławia. Polski teatr ma być już na S. Michał skończony. Główną trudnością dla artystów, którzy grać na nim będą, jest to, że z wyjątkiem opery, która się powtarzać może, inne przedstawienia zmieniają się niestannie, bo słuchacz nie dosyć przywiązuje ceny do wykończonej gry i wykonania. Jakże nastarczyć nowości a choćby i powtarzań, i jak się spodziewać gry zadawalniającej, gdy niestannie uczyć się trzeba i studyować coraz co innego? Konkurs dramatyczny krakowski, zupełnie się tego roku nie powiódł i wcale sceny nie zbogacił. Zdaje się, że poprzedzające odstąpić musiały. Naznaczono nowy, który bodaj by mógł być szczęśliwszym.

W Niemczech także ogłaszane konkursy, dotąd nieszczęśliwie dosyć wypadały. Scena w niedostatku świeżych pomysłów, zapożycza się zawsze od francuzkiej.

W Wiedniu cały szereg nowości teatralnych, nabytych przez Carltheater; składa się ze sztuczek i operetek francuzkiego pochodzenia. Teatr jeden w austryackiej stolicy upadł zupełnie, inne żyją nie zbyt bujno i skarżą się na zubożenie ogółu. Jedynym środkiem pociągnięcia słuchaczy, są wystąpienia wędrownych artystów, chociaż i tym się nie zawsze powodzi. Do Berlina jadą Wiedeńczycy, do Wiednia Berlińczycy; w Carltheater występowała panna Frohn z Petersburga i dosyć się podobała; oraz panna Western z Berlina, którą stale mają zaangażować. Do teatru w Burgu na lat trzy zamówiono pannę Irmę Jeleńską.

Sprostowanie.

W Nr. 29 „Bluszczu“ na stronie 2-iej w szpalenie 2-iej, wierszu 52 od góry zamiast „Najsrożej“ wydrukowano „Najpierwej“, co niniejszem prostuje się.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch*.

TREŚĆ: O powieści tegoczesnej, przez Jana Zacharjasiewicza. — *Niewiasta polska*, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — *Historia o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie*, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — *Korespondencya zagraniczna*. — *Zepchnięty w dół*. — *Listy z zagranicy*, (dokończenie), przez J. I. Kraszewskiego.